№ 33. Warszawa, dnia 1 (13) Sierpnia 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

DZIENNICZEK JANINY.

Z ŻYCIA PARYZKIEGO.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Paryż, 16 Maja 1883 r.

Dzisiaj dla mnie dzień podwójnie świąteczny: niedziela a przytem skończyłam lat szesnaście. Przestałam być małą dziewczynką, zaczynam grać rolę dorosłej panny. Obudziłam się o świcie, wstałam przed szóstą. Pobiegłam co żywo do okna zobaczyć czy dzień pogodny, co tu w maju nie zawsze się zdarza. Z niewymowną radością spostrzegłam błyszczącą kopułę Sorbony, a po lewej ręce kasztany ogrodu luksemburskiego, okryte bujnym kwiatem, całe skąpane w słońcu.

Uklękłam do modlitwy. Podziękowałam Bogu za szesnaście latek, przeżytych przy tem cichem ognisku domowem w ubóstwie i pracy, a przecież tak swobodnie, pod opieką drogich rodziców i kochanego dziadunia. Potem ubrałam się na prędce, uprzątnęłam mój maleńki pokoik, ów śliczny pokoik, który otrzymałam wczoraj na wiązanie. Kochana mama tym darem najmilszą sprawiła mi niespodziankę.

Po południu gdym powróciła ze szkoły rysunku, przyprowadziła mnie tu cała rozpromieniona. Muszę opisać ten pokoik, piękniejszy dla mnie nad wszystko o czem zamarzyć mogłam. Obejmuje zaledwo parę metrów kwadratowych, ale dla mnie czyż to nie dosyć? W małej framudze stoi żelazne łóżeczko, odgrodzone od reszty pokoju firanką kretonową w wiązki polnych kwiatów na tle blado zielonem. Takaż firanka zdobi czteroszybowe okienko, z którego widok rozciąga się daleko, jak zazwyczaj z czwartego piętra. Ściany wyklejone perłowym papierem, na nich przybite dwie półki pełne książek, medalion gipsowy dziadunia, fotografie rodziców, braci i zmarłej parę lat temu babuni. Przy oknie w rogu, maleńki stoliczek do pisania, pokryty zielonem suknem, wkoło obhaftowanem ręką matki, na ziemi dywanik w różnokolorowe kwiaty, szafka, trzy wyplatane krzesełka; oto i wszystko. Obok jest jeszcze maleńka kryjówka, wyborna dla utrzymania porządku.

Wszystko urządziła droga matka. Nikt się z tem nie wygadał, nie mamy bowiem sług niedyskretnych; stara tylko kobieta przychodzi codzień na dwie godziny; małomówna, zajęta kuchnią, nie zdradziła tajemnicy, lubo musiała o niej wiedzieć.

Rozpatrywałam się w skarbach moich. Oprócz znanych mi książek, były na półeczkach i nowe: poezye Jana z Czarnolasu, Mickiewicza i Krasińskiego; Listy z podróży Odyńca i świeże wydanie Klementyny Hofmanowej; upominki to od ojca i dwóch braci. Przeglądałam je pilnie, kiedy ktoś zapukał do drzwi moich.

— Czy to dziadunio? — zapytałam z daleka.

— Nie bój się dzieweczko, nie złodziej — odparł głos dobrze mi znany.

Otworzyłam czemprędzej. Dziadunio wszedł z wielkim bukietem w ręku.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje—rzekł wesoło — ale ten kto ci daje ów bukiet wstał jak widać raniej od ciebie.

— Dziaduniu, czy się godzi tak zbytkować — zawołałam całując jego ręce — jedna z tych pięknych róż, dośćby mnie uszczęśliwiła.

— Weźże tę jednę ode mnie — rzekł podając mi doniczkę z rozkwitłą różą mchową. — Ten bukiet oddała mi odźwierna, gdym wracał ze mszy świętej, której słuchałem na twoję intencyą.

— Od kogoż to być może? — pytam i czuję jak rumieniec występuje mi na twarz.

— Zobacz, musi być bilet w pośród kwiatów,

bo kto obdarza takim datkiem, nie kryje się zapewne.

Rozgarniam kwiaty drżącą ręką... widzę kartkę... na niej imię Stanisław.

— Stasiek, zgadłem odrazu — rzecze dziadunio — i ty domyśliłaś się pewnie — to mówiąc patrzył mi w oczy z uśmiechem.

Drżałam jak listek, dziadunio udał że tego nie widzi.

Wziął z półek tomik Kochanowskiego, siadł na krześle pod oknem i przerzucał kartki. Ja tymczasem włożyłam w wazonik mój bukiet, a że był za wielki, oddzieliłam kilka róż i trzymałam je w ręku, z myślą, że je włożę tymczasowo w wodę a wieczorem przypnę do włosów i stanika.

Dziadunio czytał z zajęciem. Ja wlepiłam oczy w rysy jego pełne wyrazu, w to czoło poorane zmarszczkami, przecięte głęboką szramą, uwieńczone dość bujnym włosem, białym jak puch łabędzi, w długą, bieluchną brodę utrzymaną z wielkiem staraniem, a ślicznie odbijającą od rumianej twarzy. Uśmiechał się łagodnie ale smutno. Położył wreszcie książkę.

— Czy zgadniesz co czytałem? — zapytał obracając się do mnie.

— Wiem dziaduniu, rzuciłam okiem na tytuł.

— Tak jest, czytałem pieśń do żony. Cudnież Kochanowski ocenił polską niewiastę, gdy ją nazwał podporą domu, koroną wieńczącą głowę męża. Miałem i ja koronę taką i podporę w tej co śpi cichutko na cmentarzu Montparnasse, pod grządką bratków i stokrotek pielęgnowanych ręką twoją. Dziś Janko, pięćdziesiąt lat ubiegło od dnia, kiedy po dwuletniem rozłączeniu, powitałem ją tu, na obcej ziemi. I to jeden z powodów, dla czego nosisz imię tego patrona, który mi ją szczęśliwie przyprowadził, na chlubę i pociechę moję! Wszystko biedaczka poświęciła dla mnie, pożegnała kraj, braci, siostry i krewnych i groby rodzicielskie. Ale otóż stary pleciuga gotów się znów rozbajać, a przecież to dla ciebie znane rzeczy.

Kiwnął ręką, spuścił głowę i umilkł.

— Mów, mów dziadunieczku! — to rzekłszy siadłam na dywaniku u nóg jego, oparłam głowę na drogich mi kolanach, co mnie dzieckiem tylekroć piastowały. Wiedziałam na pamięć co mi powie, ależ on tak rad, kiedy znajdzie powolne ucho i serce, które do taktu uderza z jego sercem, a dziś tak ich mało niestety. Starzy towarzysze pokładli się do trumien, młodzi nie rozumieją starca, dla nich on poprostu gadułą. O! ja go rozumiem, mnie on nigdy nie znudzi.

— No, mówże dziaduniu, jak to było przed pięćdziesięciu laty?

— Ej ty figlarko, wyciągasz mnie na słowa, niechże więc i tak będzie. A czy wiesz jak wyglądała żona moja, gdy ją ujrzałem po raz pierwszy? Spojrzyj oto w zwierciadełko a zobaczysz jej obraz. Takie miała czarne oczęta, wesołe i tęskne na przemian, takie brewki wydatne, w łuk zagięte i takie ciemne włoski, tylko że ułożone inaczej, bujną kosą otaczały jej główkę. Pomnę jak dziś, było to również w Maju. Stanąłem kwaterą w domu jej ciotki, bo sierota nie miała rodziców. Nosiłem rękę na temblaku, a na tej oto szramie — to mówiąc dotknął czoła — przylepiony był czarny plaster. Twarz miałem uwędzoną na skwarze i wietrze wiosennym. Nie byłem piękny, ale ta szrama podobała się mojej Zosi. Spotykałem ją potem kilkakrotnie w Warszawie; brat jej Tadeusz z którym służyłem, wprowadził mnie do domu jej ciotki. Nigdy do niej słówka nie rzekłem na osobności, nie była pora na to; słuchałem tylko rzewnych piosenek, gdy je śpiewała przygrywając na fortepianie i nieraz głos mój łączyłem z jej głosem pełnym niewymownej słodyczy. Po raz ostatni, pomnę, było to w końcu lata, oboje z Tadeuszem, osmaleni prochem i kurzawą, wpadliśmy do nich na pożegnanie. Zastałem ją drżącą jak listek, oczęta miała od łez zarumienione. Odchodząc ująłem jej rączkę, po raz pierwszy przycisnąłem ją do ust.

— Do widzenia, panno Zofio — rzekłem poruszony głęboko.

— Do widzenia — poszepnęła, cicho ale wyraźnie.

Rok z górą ubiegł od tej pory. Wspólnie przebyte koleje, wspólna tęsknota, coraz to silniej łączyły mnie z Tadeuszem. Zamieszkaliśmy oba w pobliżu luksemburskiego ogrodu, który w tamte czasy był rozleglejszym niż dzisiaj. Wzięliśmy się szczerze do pracy. On kończył kurs medycyny przerwany w Warszawie, ja umieściłem się w biórze notaryusza. Mieliśmy wspólną izdebkę na poddaszu, ubogą ale chędogą. Tadeusz zawołany botanik, chodował na płaskim dachu różne zioła i kwiatki. Obiad gotowaliśmy sami, w przybocznej maleńkiej kuchence, a rachując się z każdym centimem, choć dochody nasze były nadzwyczaj szczupłe, umieliśmy wystarczyć jakoś na wszystko i biedą naszą nie świecić ludziom w oczy.

— A gdzież była wtedy babunia? — zagadnęłam.

— Zosia mieszkała na wsi, pod Sochaczewem, starsza jej siostra poszła za mąż, młodsza była nauczycielką w zacnym domu niedaleko Warszawy. Zosia pomagała ciotce w gospodarstwie, a myśli jej wybiegały daleko. Słowo do widzenia, podzwaniało jakoś w jej główce.

Nadszedł Grudzień, krótkie, pochmurne dni zimowe powiększały tęsknotę naszą. Gdyby choć śnieg ubielił dachy, byłoby może weselej, ale gdzie tam, deszcz bije w szyby, wicher huczy złoskotem, o mało że okien nie powyrywa z zawias. Wreszcie nadeszła wigilia Bożego Narodzenia. Ja przyniosłem do domu rybkę, garstkę grzybów i trochę kapusty strasburskiej. Tadeusz rozpalił ogień, przypasał fartuch, zakrzątał się koło postnej wieczerzy, brakło tylko opłatka, brakło tylko gwiazdki na pochmurzonem niebie.

Nakryłem stolik białą serwetą, zasiedliśmy do uczty. Uścisnęliśmy się serdecznie, życząc sobie dosiego roku. Wtem coś błysło nam przez okienko.

— Patrz bracie — wołam — Betlejemska gwiazda wybiegła nam z pod chmury, miejmy otuchę...

— *Sursum corda*! — odrzekł Tadeusz.

Gdyby nie ta gwiazdeczka, żaden z nas nie byłby przełknął ani kęska. Wzmocnieni w duchu, spożyliśmy wieczerzę.

Nagle ktoś we drzwi zakołatał: był to posłaniec z listem, wyprawiony sam nie wiedział przez kogo. List był do Tadeusza.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DZIECI PANA RADZCY.

(OBRAZEK Z ŻYCIA MIEJSKIEGO)

PRZEZ

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg.)

Czy nadeszły, czy nie, jest to rzecz podrzędna... nie każdy zresztą ma tyle wolnego czasu, żeby mógł czytać wszystkie dzienniki od deski, do deski... Przyjechałem odwiedzić matkę mojej żony i jej rodzeństwo; jest to obowiązek, który ani z gazetami wogóle, ani z tem co się w nich znajdować może nie ma żadnej styczności.

— Obowiązek, zapewne.

— A naturalnie, każdy człowiek powinien spełniać swoje obowiązki, nic więcej, tylko obowiązki. Wszelkie tak zwane poświęcenia się, ofiary, są zupełnie zbyteczne. Niech tylko każdy pełni co do niego należy, a świat będzie zupełnie inaczej wyglądał jak teraz.

Czesław słuchał tej deklamacyi z ironicznym uśmiechem na ustach. Stasia zaczęła się krzątać koło kredensu, jedna tylko radzczyni podtrzymywała rozmowę.

— Tak, tak, masz racyę, kochany Adolfie — rzekła.

— Ja zawsze racyę mam, szkoda tylko, że nie każdy to rozumie; obowiązek, widzi mama to jest grunt i podstawa wszystkiego, obowiązek to jest...

— Proszę państwa na herbatę — zawołała Stasia.

— Chodźmy — rzekł Czesław — przecież to także obowiązek...

— Mam do ciebie, moja Stasiu, prośbę — rzekł pan inżynier, zajmując miejsce przy stole.

— Prośbę? do mnie?

— Tak jest... prośbę, w imieniu Janinki. Kiedym odjeżdżał, Janinka poleciła mi, abym mamę i ciebie zaprosił na parę tygodni do nas. Dobrze byłoby odetchnąć trochę po warszawskim zaduchu. Wprawdzie że nie jest teraz lato, ale bądź co bądź, u nas na prowincyi, czas o każdej porze dość przyjemnie przechodzi. Żyjemy z ludzmi, wiele osób bywa u nas...

— O to mnie najmniej interesuje.

— Dlaczego? — wtrąciła matka — młoda osoba nie powinna unikać towarzystwa.

— Zwłaszcza takiego jakie u nas się zbiera — rzekł pan inżynier. — Mogłabyś zrobić doskonałą partyę.

— Ja o tem myśléć nie chcę.

— Dziecko jesteś — odezwała się radzczyni — co do mnie, przyjmuję z całą gotowością zaproszenie Adolfa. Doprawdy stęskniłam się już do Janinki i do wnuczków. Kiedyż moglibyśmy wyjechać?

— Jak mamie dogodniej, ale im prędzej tem lepiej. Ja mogę zabawić w Warszawie jeszcze dzień jeden, dwa najwyżej, dłużej nie, a chciałbym żebyśmy pojechali razem.

— Dzień, dwa... no, to będzie dość czasu do pomyślenia o naszych toaletach. Musimy, Stasiu, jutro od samego rana wyjść na miasto... żeby jak

najspieszniej pozałatwiać sprawunki, nie sposób bo trzymać tu długo Adolfa, on ma tyle zatrudnienia, tyle obowiązków na głowie!

Pani radzczyni tak była zajęta projektami wyjazdu, że nie spostrzegła, iż Stasia zmieszała się bardzo i pobladła. Nie uszło to jednak uwagi pana inżyniera.

— Co tobie jest, Stasiu? — zapytał.

— To nic — odrzekła — bagatelka. Głowa trochę boli... przepraszam mamę, pójdę położę się na chwilę.

— Może ci zanieść herbatę? — spytał Czesław i nie czekając na odpowiedź wyszedł za siostrą.

— Widzi mama — rzekł z uśmiechem pan inżynier — na jaki dobry pomysł wpadłem.

— To jest...

— Mówię, że wpadłem na dobry pomysł, zapraszając do siebie mamę i Stasię. Kwestya owych lekcyi, która tak bardzo mamę niepokoi, zostanie odrazu rozwiązana. Stasia wyjeżdża i lekcye się kończą.

— To prawda! ileż wdzięczności winna ci jestem Adolfie.

— Mnie się zdaje, że owe lekcye to tylko pozór, że po za niemi kryje się co innego.

— Ah! Adolfie, co też tobie przychodzi do głowy. — rzekła radzczyni z wyrzutem.

— No, już ja mam dobre oko, zapewniam mamę.

— Stasia jest tak poczciwe dziecko...

— Bez wątpienia. Ja jednak trwam przy swojem i jestem moralnie przekonany, że ona żadnych lekcyi nie daje, że mówi o nich tylko dla zamydlenia oczu mamie.

— Więc cóż robi? z czem się kryje? na miłość Boga, Adolfie powiedz, wyprowadź mnie z niepewności. Wierzyć trudno, a jednak... alboż ja wiem co myśléć?... ja słaba schorowana kobieta nie mogę chodzić za nią krok w krok... Chociaż nie! nie, to niepodobieństwo! ta dziewczyna nie mogłaby popełnić nic niewłaściwego.

— O tem też nie ma mowy, moja mamo.

— Więc cóż przypuszczasz? czego się domyślasz?

— Jasno określić tego nie potrafię, ale przeczuwam w tem wpływ i działanie pana Czesława.

— Czesia!

— Naturalnie; jakiś koncept pełen egzaltacyi, jakieś — tu uśmiechnął się szyderczo — dobijanie się stanowiska własnemi siłami. Ona zawsze była pod jego wpływem. Myślała jego myślami, widziała w nim ideał doskonałości. Czy mama nie zauważyła, jak Stasia zbladła, gdy wspomniałem o wyjeździe, jak porozumiała się oczami z Czesławem, jak zaraz na zawołanie znalazł się ból głowy.

— Kiedy ona istotnie, w samej rzeczy, ulega często atakom migreny.

— Mnie tem nie zwiedzie. Ja mam dobre oko.

— Zawołam jej i wnet dowiemy się całej prawdy...

— A nie! nie trzeba. Niech mama tego nie robi, niech mama nie da nawet poznać, że się czegoś domyśla. Udawajmy, że nie wiemy o niczem. Ja zapraszam, mama ją zabiera; jedziecie ze mną i cała historya skończona. Zostać w Warszawie sama nie może, a skoro mama decyduje się na wyjazd i chce ją zabrać z sobą, jechać musi. Tym sposobem cichutko, bez scen, bez płaczów, bez wojowania z panem Czesławem, krzyżują się wszelkie plany, a dziewczyna pójdzie tą drogą jaką iść powinna... zwłaszcza teraz, gdy nadspodziewanie staje się panną bogatą. Mając znaczny posag może doskonale wyjść zamąż.

— Uwielbiam cię, Adolfie. Ja przecież ciągle z nią jestem i niczego się niedomyślałam, ty przyjechałeś na krótko, raz spojrzałeś i wiesz więcej aniżeli ja! Otworzyłeś mi oczy, doprawdy otworzyłeś mi oczy. Gubię się w domysłach, co oni z Czesławem zamyślali zrobić, nie pojmuję.

— I o tem będziemy wiedzieli — rzekł z wielką pewnością siebie pan inżynier — tymczasem niech nam wystarcza to przekonanie, że od chwili wyjazdu z Warszawy, panna Stanisława będzie już wyłącznie pod naszym tylko wpływem i że nie egzaltowany student, ale my o jej losie radzić będziemy. Jak powiedziałem u nas bywa w domu wiele osób, a pomiędzy nimi kilku ludzi bezżennych, mających stanowiska i wpływy. Nawet pomocnik dyrektora naszej drogi często mnie odwiedza i skoro zobaczy Stasię, to kto wie? Panna z takim posagiem! Trzeba zaś mamie i to wiedziéć, że ów wice dyrektor ma ogromne stosunki, miéć takiego w rodzinie to więcej znaczy niż majątek.

— Zapewne... powiedzże mi Adolfie, czy to młody człowiek?

— Młody!? to rzecz względna, są różne pojęcia o młodości. Można być dwudziestoletnim starcem i pięćdziesięcioletnim młodzikiem.

— Ale przecież, ileż ma lat?

— Wygląda na czterdzieści kilka.

— Przystojny?

— To także rzecz względna. Trochę może za nadto poważny, sztywny, ale niekiedy ożywia się. Między nami mówiąc, jest to stary kawaler, więc też ma swoje różne dziwactwa, ale zresztą, proszę mamy, ściśle biorąc, cóż to jest młodość? Krótka chwila. Co tak zwana uroda... głupstwo nic więcej.

— Jednak gdyby Janinka była brzydka.

— Zapewne... chociaż teraz nie zważałbym na to. Ostatecznie taki wice dyrektor to wyjątkowa partya.

— Z tego co mówisz, nie sądzę, żeby zrobił wrażenie na Stasi.

— Niech tylko Stasia na nim wrażenie zrobi... reszta do nas należy, od czegóż my jesteśmy? Mama od siebie, Janinka od siebie, no ostatecznie i ja także coś powiem. Nie sposób żeby połączonym naszym usiłowaniom nie udało się przekonać jej, a choćby nawet popłakała z początku, za to w przyszłości miałaby czem łzy ocierać.

Pani radzczyni milczała.

— Zresztą — ciągnął dalej inżynier — o przymusie tu mowy nie ma. Ja radzę, bo uważam to sobie za obowiązek, a u mnie obowiązek przedewszystkiem. Gdyby się uparła i niechciała, to może sobie wybrać kogo innego, prowadzę dom otwarty i przyjmuję dużo, dużo osób.

— Radziłabym odrazu nie nalegać.

— Naturalnie, tego rodzaju plany należy przeprowadzać powoli. Teraz ja pójdę już spocząć. Niechże mama zachowa naszą rozmowę w tajemnicy i pozwoli mi działać.

— Stasiu! Stasiu! — zawołała pani radzczyni— chodźże tu, Adolf odchodzi.

Stasia weszła. Oczy miała zaczerwienione jakby od łez.

— Cóżto moje dziecko, płakałaś? — zapytała matka.

— Zdaje się mamie.

— Widzę przecież.

— Nie, to z bólu głowy mam może oczy czerwone. Odchodzisz już Adolfie?

— Idę, spocząć muszę, gdyż jutro mam jeszcze różne rzeczy do załatwienia. Dobranoc mamie, dobranoc ci Stasiu.

Pan inżynier nie myślał wszakże spoczywać. Przyjechał do Warszawy nie po to przecież żeby spać. Na wypoczynek dość miał czasu w domu.

Jeszcze przy śniadaniu umówił się ze znajomymi, że się na kolacyę zbiorą, aby przy miłej pogawędce parę godzin przepędzić. Dla tych znajomych pan Adolf był o wiele milszym towarzyszem obecnie, aniżeli dawniej.

Otaczał go urok bogactwa, które zawsze przyciągająco działa na ludzi. W wesołem gronie biesiadników, przy kieliszku szampana była mowa o rozmaitych projektach i wielkich przedsiębiorstwach, budowach nowych kolei żelaznych, antrepryzach, które miały spodziewaną fortunę podwoić.

Każdy niemal człowiek ujrzawszy się nagle w posiadaniu znaczniejszej sumy, lub też mając nadzieję, że w niedalekiej przyszłości miéć ją będzie, wnet uczuwa w sobie powołanie do odegrania roli wielkiego finansisty. Miliony spodziewane chce wnet podwoić, potroić.

Gdy pan inżynier w gronie wesołych towarzyszy rozprawiał szeroko, na temat, co znaczą duże pieniądze w ręku człowieka genialnego, w skromnem mieszkanku na Ogrodowej ulicy było już cicho i tylko w jednym pokoju paliło się światło.

Pani radzczyni usnęła, marząc o świetnej przyszłości córki, a brat z siostrą rozmawiali szeptem, aby tego snu i tych marzeń świetnych nie przerwać.

Stasia miała w oczach łzy. Czesław uspakajał ją i pocieszał.

Na trzeci dzień, dwoma dorożkami, udano się na dworzec drogi żelaznej.

Pan inżynier skrzywił się patrząc na mnóstwo tłomoczków jakie z sobą radzczyni zabrała, ale niezadowolenia swego nie śmiał głośno objawiać.

Ulokował się z paniami w przedziale pierwszej klasy i zapaliwszy cygaro, spoglądał z góry na ów szary tłum, który z gorączkowym pośpiechem przebiega od wagonu do wagonu, szukając twardej ławki.

Gdy się rozległ głos drugiego dzwonka, do przedziału zajętego przez naszych znajomych wskoczył młody człowiek w stroju podróżnym.

Wskoczył, spojrzał na panią Lubiczową, na Stasię i wybąknąwszy „przepraszam” wyskoczył jeszcze prędzej z wagonu.

— Czy mnie wzrok nie myli — zawołała pani radzczyni — Stasiu kto to był?

— To był, mateczko, pan Kazimierz — odpowiedziała Stasia...

V.

W apartamentach pana inżyniera było gwarno i ludno.

Dzieci uradowane z przyjazdu babci i cioci, które przywiozły ze sobą cały transport zabawek, pozwalały sobie krzyczyć głośniej niż zwykle. Pani Janina uwijała się, aby jaknajlepiej przyjąć matkę i siostrę, służba była w nieustannym ruchu.

Prócz tego zaczęły się przygotowania do wiel-

kiego przyjęcia, jakie pan inżynier z okazyi dnia urodzin żony postanowił wyprawić.

— Dotychczas nie przyjmowaliśmy gości w moje urodziny — ośmieliła się zauważyć pani Janina.

— Istotnie — odrzekł — nie przyjmowaliśmy, ale w tym roku wyjątkowo przyjmiemy.

— Jeżeli sobie życzysz.

— Nietylko życzę sobie, lecz chcę. Są takie okoliczności, że muszę wydać wieczór i to taki, żeby o nim dużo mówiono.

— Jak każesz.

— Bądź więc łaskawa i zajmij się tem. Możesz się poradzić matki, ona w takich razach ma znakomite doświadczenie... Przejadali przecież wszystkie dochody...

— Adolfie!

— No, no, to nic... tak sobie tylko nawiasowa uwaga. Mówię, że matka ma w tem doświadczenie, które w danym razie bardzo się może przydać. Pomów z nią... naradź się, a ja porozpisuję listy zapraszające.

— Jak każesz...

— Pomyśl także, a raczej zajmij się tem, żeby Stasia była na ten wieczór szczególnie dobrze ubrana.

— Ah! więc to dla niej! Jakże ci mam za to dziękować, mój kochany.

— Czy dla niej, czy nie dla niej, trzeba żeby tak było i tak będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z gwiaździstych marzeń.

Do złudzeń skorą bywa myśl kobieca:
Patrząc na gwiazdy oczami tęsknemi,
Przypuszczam nieraz, że jest między niemi
Jedna, co dla mnie wyłącznie przyświeca.

Czyż tak daleko od nieba do ziemi?
Czyż nieprzebyta wznosi się forteca,
Między czynnikiem co światło roznieca
A pragnieniami nienasyconemi?

I czegoż myśli tęskne nie wyroją!
Może ta gwiazda, którą chcę zwać moją,
Losy zranionych serc śledzi tam z góry:

A gdy się cierpień ciężary podwoją,
Gdy skarg i westchnień odezwą się chóry,
Blaski jej zadrżą i nikną wśród chmury...

Emilia.

ODNALEZIONA.

POWIEŚĆ

Golo Raimunda.

PRZEKŁAD

Karoliny Szaniawskiej.

(Dokończenie.)

Czy tak? — rzekł zwracając się do kuzynki — Hortensyo, więc ty nie znasz wartości tego obrazu. Pozwólże sobie powiedzieć, że to jest prawdziwe arcydzieło i że zrobiłaś mi wielką przyjemność. Jestem bardzo szczęśliwy... Słyszałem, że zajmujesz się malarstwem, lecz dzisiaj widzę, że jesteś skończoną artystką.

Roześmiała się, ukazując dwa rzędy białych ząbków.

— Pochlebca! — rzekła po chwili. — To bardzo nieudatna próba i nic więcej. Może sądzisz, że długo nad nią pracowałam. Wiedz-że o tem, iż daleko więcej czasu tobie poświęcam, nic nie robiąc, gdy myślę i marzę — dodała nawpół żartem.

Erwin nie odpowiedział na to wyznanie, ona zaś rzekła innym tonem.

— Słuchaj, kuzynku, tylko jeden warunek... Ja wybiorę miejsce dla mego arcydzieła.

— Cały dom jest na twoje rozkazy — odrzekł uprzejmie młody człowiek.

— Zawieszę go w pokoju twej żony.

— Pokój już gotów, a żona...

— Upatrzona już pewno — dodała figlarnie, gdy Erwin nie chciał dalej mówić.

— Tak, Hortensyo, tak jest istotnie — rzekł z niezwykłą żywością.

— Dlaczegóż, mając serce na końcu języka, nie rzucisz go u stóp wybranej? — pytała z błyszczącem wzrokiem Hortensya. — Możesz być pewny, że ona je podniesie.

Erwin milczał, piękna dziewczyna pochyliła ku niemu płonącą twarzyczkę, aby usłyszeć pożądany wyraz. Nagle drzwi się otwarły i wszedł lokaj, oznajmiając przybycie gości.

Chociaż cel do którego dążyła, usunął się znowu, lecz znajduje się blizko, to przekonanie, wprowadziło Hortensyę w jak najlepszy humor. Erwin siedział przy niej w czasie obiadu i był tak milczący, że aż wszyscy to spostrzegli. Cóż dziwnego? niedomówiona odpowiedź leży mu na sercu!...

Pani von Mersdorf kazała się domyślać, że ten obiad tak uroczysty, ma pewien cel i znaczenie, pominąwszy nawet drobną okoliczność, że dostarczał okazyi do popisania się akwarelą, jako robotą własną.

Wspomniano o niej, jak gdyby przypadkiem; Erwin nie odzywał się wcale, lecz uczyniła to córka czy też matka. Grzeczność nakazywała prosić o pokazanie obrazu. Podano kawę w pokoju pani von Mersdorf, a gdy Hortensya przyniosła akwarelę, podziwiali ją wszyscy.

— Co za cudowne, jakie naturalne! — rzekł jeden z panów. Przysiądzby można, że robione podług żywych wzorów, a jednak to niepodobna. Gdzie można teraz znaleźć lilie?

— Bo — tłomaczyła się Hortensya — pojedyńcze kwiaty malowałam w lecie, a teraz wykończyłam całość. Dlatego też właśnie, chociaż panowie jesteście przeciwnego zdania, układ całości jest sztywny, znać w nim sztukę, która nigdy nie zastąpi natury. Zapóźno do tego się wzięłam i widząc mnóstwo błędów, nie miałam czasu ich poprawiać, gdyż wczoraj dopiero skończyłam obrazek.

Unosząc się w pochwałach, gość położył akwarelę na stoliku, Erwin zaś milczał uparcie, nie mogąc zdobyć się na jeden wyraz, a wszyscy spoglądali po sobie i wkrótce też zmienili przedmiot rozmowy.

Lecz nad obrazem Weroniki zawisła fatalność. Lokaj który podawał kawę, zręczny zazwyczaj, bo w dobrej szkole wyćwiczony dawny sługa, zaczepiwszy nogą o długi tren Hortensyi, potknął się z tacą w rękach. Z podziwienia godną przytomnością umysłu, ocalił filiżanki, ani jedna kropla kawy nie spłynęła z tacy na ubrania gości, lecz szukając punktu oparcia, chwycił się biedaczysko za róg serwety i wraz z nią ściągnął ze stołu akwarelę.

Krzyk przerażenia wyrwał się z kilku piersi, pani von Mersdorf piorunującym wzrokiem zmierzyła sprawcę fatalnej zbrodni, który natychmiast się oddalił, a goście podnieśli uszkodzone arcydzieło. Kilka kawałków szkła wpadło wewnątrz, co zagrażało całości pięknych kwiatów, a jeden z panów doradził, żeby natychmiast odjąć ramy. Na nieszczęście, Erwin rozmawiał wtedy z damami w sąsiednim pokoju i wszedł właśnie, gdy po wyjęciu obrazu zaczęto go oglądać.

— Nic mu się nie stało — rzekł stary jegomość, który się podjął operacyi zdjęcia ram. — Ah! — dodał po chwili — jest tu jakiś napis!...

Pan von Mersdorf stanął jak skamieniały, gdy po głośnem odczytaniu czterowiersza, wymieniono jego nazwisko i datę ośmnastego Stycznia.

Milczenie zaległo salon, wszyscy spojrzeli po sobie, nie wiedząc jak tłomaczyć tę dziwną zagadkę. Hortensya bladła i rumieniła się naprzemian, widząc się zdemaskowaną w oczach konkurenta, który sam jeden tylko rozumiał dobrze co się święci. Hrabianka Melania zaproszona umyślnie na świadka tryumfu przyjaciołki, pierwsza zdobyła się na odwagę.

— Co za szczególny traf — rzekła zaciekawiona do żywego — panie Erwinie, jakim cudem mogłeś pan przed trzema miesiącami opiewać zalety obrazu skończonego zaledwie wczoraj. Czy pan jesteś jasnowidzącym?

— Mersdorf wyjąkał kilka niezrozumiałych wyrazów, oczy Hortensyi rzucały błyskawice, a okrutna dziewczyna paplała dalej.

— Nie, źle się wyrażam, wszak pan wiesz, że Hortensya wcale nie śpiewa!... Panie von Mersdorf o kim tutaj mowa i jakim cudem trzy miesiące naprzód, myślałeś pan o tym obrazie?

— O — zawołał Erwin usiłując żartować — to mój sekret, czarodziejska sztuka w rodzaju „Bosco"...

Trudno było się łudzić, wszyscy zrozumieli, że coś złego się święci, chociaż nie umieli stanowczo określić, co to jest właściwie, lecz pośpiech z jakim zwrócono rozmowę na inny przedmiot, świadczył wymowniej niż słowa, że Hortensya poniosła straszną klęskę.

Uroczystość, zapowiadająca się tak świetnie

przerwaną została, goście rozjechali się przed wieczorem, tylko Erwin pozostał.

Wówczas dopiero Hortensya przestała nad sobą panować, podarła obraz w drobne części i płacząc z gniewu i wstydu rzuciła się na fotel. Czując się wspólnikiem jej winy przez sfałszowanie obrazu, Erwin probował uspokoić kuzynkę, lecz nie chciała słuchać obrony ani objaśnień. Zmieszana również do najwyższego stopnia pani von Mersdorf zaczęła kombinować:

— Kto wie, może gdy Erwin wyjaśni całą sprawę, cień jaki padł na biedną dziewczynę da się jeszcze złagodzić. W każdym razie, lepiej mieć w nim sprzymierzeńca, niż wroga.

— Widzisz moje dziecko, że niespodzianka, którą dla ciebie urządziła Hortensya, smutnie wypadła dla niej, tem smutniej, niestety, że kosztowało ją wiele trudów. Jej własny obraz uległ smutnemu wypadkowi, będąc już prawie skończonym, nie posądzaj mnie o próżność macierzyńską, gdyci powiem, że pod żadnym względem nie był gorszy od tego, który widziałeś. Ona, biedaczka, tak się cieszyła dniem twoich urodzin, który poraz pierwszy od dawna miałeś spędzić w naszym domu! Przykro byłoby mnie i jej także, gdyby pomimo pracy i trudów nie miała ci nic od siebie ofiarować, więc też ja sama podałam jej radę, żeby w miejsce obrazu uszkodzonego jak najfatalniej, kupić drugi, gdy inaczej nie można. Bo — dodała po chwili — jeźli jej praca ma dla ciebie jakąkolwiek wartość, chciała ci dać dowód swej gorliwości i nie szczędziła trudów. Niestety, co za przykry rezultat! Bo i cóż się stało? Widząc rozpacz Hortensyi, prosiłam jednego z tutejszych kupców, żeby mi przyniósł odpowiedni obrazek, nie lepszy od jej własnego, o to mi szło jak najwięcej. Kupiec spóźnił się nieco i dopiero dziś z rana przysłał nam akwarelę. Oto masz prawdę najszczerszą, kochany Erwinie, a teraz powiedz ty, co wiesz o tem.

Pamiętając dobrze, iż obraz Weroniki dawno już był zamówiony, a ztąd jasny wniosek, ża ciotka popełniła nowe kłamstwo, które jej przychodzi z tak wielką łatwością, że możnaby mu uwierzyć, Erwin czuł się jednak obowiązanym mówić prawdę. Nie tłomacząc się jaśniej, powiedział jednak, że był w mieszkaniu Weroniki podczas jej nieobecności i przypadkiem uszkodził świeżo wykończoną akwarelę, a że miał właśnie u siebie obraz jej pendzla, poświęcił go bez wahania, aby wynagrodzić stratę. Widząc jednak, że akwarela była dla niego przeznaczoną, postanowił zaraz odkryć całą prawdę.

— A zatem chciej mi wierzyć, droga Hortensyo, że i ja nie jestem tak bardzo winien — dodał podając jej rękę, bo czyż mogłem przypuszczać, że ty byłaś tak dobrą i pamiętałaś o dniu mych urodzin. Wybacz mi, nie gniewaj się, bądźmy przyjaciołmi.

Hortensya usunęła rękę Erwina, płacząc jak kapryśne dziecię i zawołała po chwili.

— A jaką mi dasz satysfakcyę w obec świata? Łatwa to rzecz narazić na śmieszność dziewczynę, która nie ma obrońcy.

— Hortensyo! — zawołał Mersdorf.

— Czyż więc ty jesteś moim obrońcą? — spytała miękkim głosem, zalewając się łzami. — Ah! powtórz, powtórz raz jeszcze! to mi dodaje siły.

Podobne znalezienie się w innych warunkach, mogłoby stać się niebezpieczną, lecz Erwin był aż nadto uzbrojony przeciw wszelkim pokusom tego rodzaju.

— Tak — rzekł spokojnie — możesz mi zaufać, ja sam zajmę się tą sprawą. A teraz, potrzebujesz spokoju, więc odchodzę i spodziewam się, że jutro będziesz znowu wesoła jak zawsze.

Pani von Mersdorf odprowadziła siostrzeńca do przedpokoju.

— Drogi Erwinie — rzekła ze słodkim uśmiechem — jeżeli się nie mylę, to wszystkiemu winna twoja wizyta u artystki. — Pogroziła mu palcem, a potem widząc jego pomieszanie, dodała z macierzyńską pobłażliwością. — No, no, nie tłomacz się mój chłopcze, znam ją, jest tak brzydka iż niebezpieczną być nie może.

Wyszedłszy na ulicę, Erwin spostrzegł dopiero, że obiad skończył się cokolwiek zawcześnie. Weronika pewno jeszcze nie przyjechała.

Wstąpił do kawiarni i zajął się czytaniem gazet aby ukryć wzruszenie i niepokój, jaki nim miotał. Zaledwie upłynęło pół godziny, wszedł jeden z panów, który znajdował się na obiedzie u ciotki.

— Aa! Mersdorf — rzekł podając mu rękę — otóż spotykamy się dziś po raz drugi.

Erwin milczał, a gość zaczął znowu.

— No, no, to było wcale zabawne intermezzo! Wierz pan, zakładano się nawet kto grał rolę reżysera.

— Czy podobna? — spytał Erwin — to źle panie radzco, gdyż do autorstwa przyznamy się oboje.

— Ba! jeżeli pan zechcesz w nas wmówić... Lecz na Boga, powiedz lepiej jak było istotnie.

— Główną przyczyną nieporozumienia jest moja własna niedyskrecya i ciekawość. Widziałem przedtem akwarelę i wypisałem na niej kilka wierszy.

Radzca mrugnął siwemi oczkami.

— Panie Mersdorf — rzekł z ironicznym uśmiechem — hrabianka Melania twierdzi, że pan posiadasz dar jasnowidzenia. Zkąd mógłbyś wiedzieć że panna Hortensya objawi kiedyś zdolności do muzyki, których dotychczas nie ma wcale.

Erwin zerwał się z żywością.

— Słowo honoru daję — rzekł zły już trochę — że nieporozumienie powstało z mej winy, a co się tyczy reżysera, niech będzie nim kto chce!...

— No, no, uspokój się pan — rzekł radzca — mówmy o czem innem, mało mnie to wszystko obchodzi, gdyż nie myślałem się zakładać. Wiem tylko, że pańska ciotka pojechała zaraz do hrabiny Buttlarowej, a zatem bez naszej pomocy, we dwie dadzą sobie radę. Chodź pan, zagrajmy w domino, wszak nie masz o co się gniewać.

Erwin przystał z ochotą, a gdy skończyli, postanowił nareszcie iść po wyrok, mający rozstrzygnąć jego losy.

W oknach jej pokoju jaśniało światło, wróciła zatem i wie, że ktoś o niej myślał, tęsknił i czekał...

Ujął za klamkę, zdecydowany rozmówić się niezwłocznie, bo chociaż pora cokolwiek spóźniona, a więc niebardzo stosowna, ważny powód jego odwiedzin po części ją usprawiedliwiał.

Spotkał się we drzwiach z Sabiną, która spojrzała na niego ze zdziwieniem, zafrasowana czegoś i smutna.

— Pani radzczyni jest u siebie — rzekła nie dając mu przyjść do słowa.

— Pragnę się widzieć z panną Elbing...

Stara zmierzyła go od stóp do głowy, bystrym i przejmującym wzrokiem.

Potem poszła wykonać rozkaz i wróciła za chwilę z oznajmieniem, że pani nie przyjmuje nikogo.

— Czy chora? — zapytał z żywością.

— Nie, ale też i nie wesoła — odparła prawie z gniewem.

Erwin zmiarkował po minie starej sługi, że coś złego się stało i pobiegł natychmiast do mieszkania dawnej opiekunki.

Usłyszawszy jego kroki na schodach, podeszła ku drzwiom z otwartemi rękami.

— Niech cię Bóg błogosławi w dniu imienin — rzekła całując wychowańca — i niech cię szczęściem obdarzy.

— Nie wiedzie mi się dzisiaj — odrzekł ściskając pomarszczone dłonie staruszki — smutny to dzień dla mnie i bardzo niepomyślny; dawniej gdy wszyscy o mnie zapomnieli, przyjemniej mi schodził. W południe spotkała mnie wielka nieprzyjemność, a teraz rozczarowanie. Weronika nie chce ze mną się widzieć.

— Co? — zawołała radzczyni — ona nie chce cię widzieć! Ależ moje dziecko, ty się mylisz... Ujrzawszy kwiaty, ucieszyła się niewymownie, a gdym jej kazała odgadnąć, kto je przysłał, bladła i rumieniła się naprzemian. Ciekawa jestem, co tam znów nowego. No, nie smuć się, chłopcze, pójdę sama zobaczyć z której strony wiatr wieje, teraz Kwiecień, słońce lubi płatać figle.

Poszła natychmiast i wróciła za chwilę.

— A to niegodziwość! — zawołała z oburzeniem. — Biedna Weronika otrzymała list od twej ciotki, w którym o tobie jest wzmianka. Wytłomaczyłam jej przecież, że należy posłuchać co ty na to powiesz. Idź, broń się i wracaj do mnie.

— Jako zwycięzca—dodał spiesząc ku drzwiom.

Weronika stała przy oknie wśród kwiatów, bledsza niż zwykle z czerwonemi od łez oczami. Gdy Erwin wyciągnął do niej obie ręce, z wyrazem tęsknoty i miłości, cofnęła się zdziwiona.

— Cóżem ja zawiniła? — rzekła słodkim, przejmującym głosem, który drżał od tłumionych łez— za co nienawidzisz mnie pan i prześladujesz?

Nie czekając na tłomaczenie ze strony Erwina, podała mu list, który leżał na stoliku.

Erwin poznał pismo ciotki i przeczytał co następuje.

„Panno Elbing!

Dowiedziałyśmy się przypadkiem, że mieszkając sama, bez opieki, przyjmujesz pani u siebie młodych ludzi, do których należy pan von Mersdorf. Jesteśmy zmuszone podziękować pani za lekcye, gdyż jako matki, staramy się w wychowaniu naszych córek strzedz jak najpilniej surowych przepisów moralności.

K. von Mersdorf.

H. hrabina Buttler.

Wzrok Erwina ogniem błysnął, Weronika odwróciła się, by ukryć łzy.

— Pani! — zawołał z uniesieniem, chwytając jej rękę — spojrzyj na mnie, czy wyglądam jak nędzny, podły oszczerca?

Dziewczyna śmielej podniosła głowę, a on dalej mówił.

— Ja zdepcę to niegodne kłamstwo, lecz pani ze swej strony, powinnaś mi uwierzyć, nie proszę, lecz żądam tego koniecznie!

Uścisnął podaną rękę i podniósł ją do ust.

— Weroniko! — rzekł z czułością — chciej mi zaufać szczerze, całą duszą, wesprzeć głowę na mojem sercu...

Dziewczyna cofnęła się blada i drżąca.

— Tak — rzekł po chwili — ja byłem tu podczas twej nieobecności, lecz dawno do ciebie tę-

sknię i marzę, gdyż od dawna poznałem twe serce. Szukałem cię i znalazłem nakoniec. Zacną, szlachetną i odważną byłaś zawsze, w każdej chwili życia i nie złamały cię burze. Czy chcesz, bym został twym przewodnikiem i mężem?...

Weronika zachwiała się, jak gdyby wyczerpana, a potem rzekła tuląc się do piersi Erwina:

— Życie jest tak piękne, tak słodkie, o, Boże!...

Erwin ocierał łzy z jej oczów płynące.

— Nie płacz — szeptał z czułością — nie płacz, gdy wierzysz, że życie jest słodkie...

— I piękne — dodała — gdyż dziś jestem kochaną dla samej siebie.

* * *

Wieść o zaręczynach, lotem strzały rozeszła się po mieście. Obchodzono je w dzień urodzin, w mieszkaniu staruszki, a wśród kosztownych prezentów ślubnych, dziennik zajmował pierwsze miejsce.

— Długo cię szukałem — powtarzał Erwin — i znalazłem na całe życie!...

KONIEC.

TEATR.

Budnik, obraz dramatyczny, ułożony z powieści J. I. Kraszewskiego przez W. Ratyńskiego.

Myśl użycia znanej powieści p. t. Budnik, na przedstawienie w przeróbce dramatycznej, krytyka nasza teatralna uznała pomysłem trafnym z zachętą, aby wszystkie sielskie powieści naszego nieodżałowanego a genialnego pisarza, w podobny sposób były użyte.

Nie podzielamy tego zdania, ale nie ze względu braku w nich odpowiednich przymiotów, tylko wprost z niepożądanego oddziaływania treści na pewne grono słuchaczy.

Cement spajający u nas warstwy społeczne nie jest tej mocy, aby rozluźnienie związku ich było obojętnem, aby nie była potrzeba pilnego starania się o jego coraz silniejsze łączenie.

W Budniku rzecz pięknie i poetycznie przedstawiona, ale krzywda przez dziedzica wyrządzona prostej dziewusze poleskiej i ztąd płynące wszystkie następstwa, są tak straszne, że dla grzesznika a więc i do całej warstwy ludzi do jakich należy, dobrej woli a nawet pobłażania wyjednać nie może. W teatrze Alhambra, gdzie sztuka ta została przedstawioną, publiczności bywa wiele takiej, która do innych czyli z miejscami drożej płaconemi prawie nigdy nie chodzi. Ma ona i tak dosyć niechęci do wszystkich co coś posiadają, pocóż więc ją usprawiedliwiać, przedstawianiem tak brzydkiego czynu, jakiego się w Budniku młody dziedzic dopuścił?

Wreszcie przewaga uprzywilejowanych nad prostym ludem już zniknęła bezpowrotnie, błędy, występki ztąd wynikające należą do zamarłej przeszłości, pocóż więc je obrazować gdy już dziś w pamięci nawet wyniki ze stosunku tego czasami przykrego, zatarte zupełnie zostały. Jeżeli w układzie Budnika, szło o konieczność zawiązku dramatycznego, można było śmiało osobę młodego dziedzica zastąpić inną postacią z ludu wziętą, boć i w nim znajdują się niegodziwi hultaje, pierzchliwe motyle, nieprzepoprzestające na słodyczy z jednego kwiatka czerpanej. Konieczności tym sposobem stałoby się zadość i potrzebie usuwania wszystkiego, co jednych przeciw drugim drażni. Na takie to względy i autorowie i krytycy powinni szczególniej zwracać uwagę i przedewszystkiem w pamięci mieć dobro ogółu i wpływ jaki teatr na złotówkową publiczność wywiera.

Dramat w Budniku rozgrywa się wśród puszczy Poleskiej w posiadłości biednego budnika Bartosza szlachcica, który ma syna idyotę Macieja i córkę nadobną Julusię. Dziedzic młody poznał ją a i pokochał oczami. Kamerdyner sprytny a bezwzględny w środkach przypodobania się panu, z macochą Julusi, namawiają dziewczę, aby paniczowi sprzyjała, dom ojcowski opuściła i do dworu poszła na służbę, złote góry obiecując jej za to.

Julusia głuchą jest na wszystkie namowy bo kocha Stacha wzajem kochana. Podarki i obietnice odrzuca; czem kamerdyner oburzony, podmawia dwóch złodziei koni, żyda i chłopa, aby w nocy dworskie konie wprowadzili do stajenki Bartosza i o tem zaraz zawiadomili policyą.

I staje się tak jak ułożyli: Bartosz z synem Maciejem idą do więzienia, Staś poprzednio wyruszył z flisakami, Julusia więc zostaje sama z macochą i zabiegi młodego dziedzica zwyciężają, dziewczę całem sercem przywiązuje się do niego.

Ale panicz niedługo obojętnieje, kamerdyner stara się teraz biedną Julusię usunąć ze dworku, dokucza jej, pastwi się, matka młodego pana litując się nad pogardzoną, przytula ofiarę do serca, broni ją, opiekuje się, ale Julusia za wiele cierpi i ucieka do domu... waryatką.

W tem wraca Stach z flisówki, dowiaduje się o wszystkiem, szaleje z rozpaczy, aby zapomnieć upija się, wreszcie rozpija i żeni się z największą rozpustnicą wioskową.

Wkrótce potem żyd złodziej poróżniwszy się ze wspólnikiem swoim, wyznaje podstęp co do ukradzionych koni i Bartosz wraz z synem Maciejem wracają do domu.

Stary Budnik dowiedziawszy się o nieszczęściu córki i widząc ją obłąkaną, nic już więcej nie pragnie tylko zemsty. Julusia rozpaczająca ciągle, ze szczytu stromej skały rzuca się w przepaść, Budnik podpala własną chałupę a wystrzałem z fuzyi kładzie trupem uwodziciela.

Oto treść Budnika zbyt jaskrawa i dramatyczna niemal do tragedyi przydatna, której największą ozdobą jest muzyka, ułożona przez p. Zygmunta Noskowskiego.

Grę artystów publiczność przyjmowała z zapałem a wywoływaniom autora, kompozytora muzyki i dyrektora pana Szymborskiego nie było końca.

Pomiędzy artystami szczególniej odznaczyły się, panie: Rożańska, Szwaryczewska i Niesiołowska; panowie: Szymborski, Józefowicz, Różański, Dobrzański, Chmieliński i Walentowicz.

J. G.

Antonina Lix.

Dawne podanie o Amazonkach, wzbudza dziś uśmiech pobłażliwy lub wzruszenie ramion; amazonką zaś nazywamy dziś już tylko kobietę, używającą konnej jazdy i powłóczystą suknię, która ją stroi. A jednak i w czasach nowszych i za dni nawet naszych, bywały na świecie od czasu do czasu Amazonki, to jest kobiety, które zamiast właściwych płci swojej zajęć, oddawały się trudom i ćwiczeniom męzkim, dźwigając oręż w potrzebie. Oczywiście były to i są wyjątki, anomalie, zboczenia, od jakich nie są wolne żadne prawa, a więc także prawa społeczne i prawo natury. Wojownicze owe kobiety powinny były urodzić się chłopcami, że zaś tak się nie stało, usposobienie i instynkta, częstokroć pod wpływem zapału i dobrego serca, pchnęły je na drogę ciężkich, właściwych płci silnej, trudów i zapasów. Wiele z nich przytem, jako obdarzone w wysokim stopniu odwagą, użyły tejże i na innych polach działalności, gdzie grożą największe niebezpieczeństwa, ale kwitnie zarazem najpiękniejsze poświęcenie, do którego przedewszystkiem czują się uzdolnionemi owe wyjątkowe kobiety.

Jedna z takich kobiet żyje dotychczas we Francyi, w mieście Bordeaux, nazywa się zaś Antonina Lix. Ojciec jej był oficerem wojsk francuzkich za panowania króla Karola X, dostawszy dymisyą, osiadł w mieście alzackiem Kolmarze i tu przyszła na świat Antonina.

Stary żołnierz wychowywał córkę nietylko po męzku i po żołniersku, ale nawet i po spartańsku, rozwijając siły fizyczne dziewczyny, ćwicząc ją w gimnastyce, jeździe konnej i władaniu bronią, hartując na głód i zimno.

Pomimo to, młoda Antonina obrała była zrazu zawód, nieodpowiedni wychowaniu spartańskiemu, a właściwy wszystkim „słabym" kobietom, gdyż zostawszy po śmierci rodziców sierotą i ubogą, wyjechała za guwernantkę do Warszawy w roku 1862.

Nie wytrzymała jednak długo w tych obowiązkach, przysłowie o wilku sprawdziło się na młodej spartance.

W roku 1866 wróciła do Francyi. Tytułowano ją wtedy „porucznikiem"; była nawet podobno ranioną i z trudnością uleczyła się z tej rany, zadanej lancą w piersi.

Rząd francuzki powierzył jej zarząd biura pocztowego w Lamarche (departament Wogezów). Tu Antonina dała dowody odwagi i poświęcenia, gdyż w roku 1867 wybuchła cholera: odwiedzała więc chorych, grzebała zmarłych.

Gdy wybuchła wojna z Niemcami 1870 roku, Antonina przywdziała suknie męzkie i zaciągnęła się do oddziału wolnych strzelców. Takie oddziały pełniły służbę wyjątkowo ciężką, gdyż wolni strzelcy, jako ochotnicy, nie byli uznawani przez Prusaków za stronę wojującą i wyjęci byli z pod praw wojny. Musieli więc strzedz się, aby nie wpaść w ręce nieprzyjaciół, bo w takim razie, kto nie poległ w bitwie, ginął wskutek wyroku sądu wojennego niemieckiego: tym sposobem najeźdźcy chcieli przeszkodzić, aby ludność krajowa nie chwyciła za oręż w obronie kraju. Panny Lix nie zraziły te niebezpieczeństwa.

W dawnym stopniu porucznika, walczyła pod Bourgonie Nompatelice, niekiedy śród gradu kul opatrując ranionych.

Przy końcu wojny zostawała głównie w szpitalach i ambulansach. Po zawarciu pokoju, wróciła do dawnego swego urzędu pocztmistrzyni, ale choroba zmusiła ją wkrótce opuścić tę posadę. Otrzymała natomiast od rządu sklep z cygarami w Bordeaux, (we Francyi fabrykacya i sprzedaż wyrobów tabacznych należą do rządu).

Nie szczędzono jej też innych nagród: w r. 1872 dostała złoty medal zasługi klasy pierwszej i krzyż bronzowy ambulansów; w roku następnym damy alzackie przysłały jej w upominku kosztowną szablę, a jenerał Charette — medal żuawów papiezkich; trzeba bowiem wiedzieć, że panna Lix była zawsze gorliwą katoliczką, tak że nawet w oddziale Garibaldiego służyć nie chciała.

W roku 1884 „Towarzystwo narodowe zachęty ku dobremu" ofiarowało pannie Lix medal klasy pierwszej, a w roku bieżącym kanclerz Legii Honorowej miał przedstawić ją do tego orderu.

Obecnie panna Lix „dystrybutorka", dawniej Amazonka, liczy lat 47, ale niestety, reumatyzm gnębi ją do tego stopnia, że już o kulach zaledwie chodzić może.

Pomimo spartańskiego wychowania i dobrego zdrowia, natura kobieca zemściła się niejako na organizmie, za niewłaściwe dla płci słabej ciężkie trudy i mozoły, którym oddawała się z poświęceniem niepospolita ta niewiasta.

Może to być poniekąd przestrogą, że nawet wyjątkowe natury kobiece, nie zdołają wytrzymać wyjątkowych męzkich trudów.

L. Sz.

PIERWSZY DZIEŃ POSTU.

PRZEZ

Ernesta d'Hervilly.

Jest-to jedna scena z komedyi odgrywanych codziennie po za ścianami salonowych tajemnic.

(Rzecz dzieje się w kościele św. Tomasza d'Aquin, w środę popielcową z rana. Kościół napełniony tłumem osób mniej więcej elegancko ubranych. Rozmaite modne perfumy mieszają się z zapachem kadzideł. Kapłan odprawia mszę św.)

HRABIA (rozglądając się wokoło myśli). Margrabina to także proch ziemski, lecz jakże czarujący! Jak jej do twarzy w tym skromnym kapeluszu z fijołkowym kwiatem, kwiatem pokory. A jej nabożna minka jest zachwycająca. Jakże bym chciał być tym świętym obrazkiem, którego dotykają jej usta.

MARGRABINA (przewracając książkę do nabożeństwa). Gdzież mi się podziały modlitwy? Ten ksiądz tak szybko odprawia mszę, że nigdy zdążyć za nim nie mogę... A, otóż i pani de Chafroid, cóż się stało, że wstała tak rano, to cud prawdziwy... zawsze ubrana w swojej oliwkowej sukni, odwiecznie zrobionej, nie pojmuję jaką ona ma krawcową.

PANI de CHAFROID (młoda wdowa). Spóźniłam się na rozdawanie popiołu; muszę czekać do końca drugiej mszy, to nudne. Tymczasem pan Labre przyjdzie i nie zastanie mnie w domu; a mamy się naradzić nad urządzeniem nowego akwarium.

HRABIA (spostrzegając przyjaciela). Otóż Cadavirol, ale cóż on się tak nachyla nad kropielnicą, jakby chciał się napić święconej wody? Zapomniałem, że ma tak krótki wzrok; nie spostrzegł mnie, ale ładną margrabinę dojrzał odrazu; bo też jest dziś ponętna z tą skruszoną minką!

MARGRABINA. Jak ja muszę dziś strasznie wyglądać w tym kapeluszu, co mi przyszło do głowy, żeby go włożyć, kapelusz zeszłoroczny, straszydło!... Trzeba było wziąć kapotkę z tą bladą różą i wieńcem zeschłych liści... A jak na złość hrabia przypatruje mi się dziś uparcie... Ha, trudno, trzeba przecież choć raz na rok zrobić sobie jakieś umartwienie.

PANI de CHAFROID (rozmyśla). Jestem pewna, że Matylda zgubiła tę srebrną łyżeczkę, której napróżno szukam od wczoraj; oj ci służący, co to za niedbalcy!... I teraz serwis, który nieboszczyk mój mąż tak lubił, jest już niekompletny. Boże miłosierny, jak ta msza ciągnie się długo!

HRABIA. Modlitwa dodaje wiele uroku margrabinie, jej oczy wzniesione w górę, mają prześliczny wyraz tęsknoty i smutku. Spojrzenie jak u św. Teresy. Tylko że margrabina (tu hrabia się uśmiechnął) nie jest świętą wcale, lecz dziwna rzecz iż spogląda na ołtarz takim samym wzrokiem, jakim podbija na balach serca zwykłych śmiertelników. A z jaką wyrafinowaną kokieteryą ubrana!

MARGRABINA. Mąż mój śpi jeszcze w najlepsze, módlmy się na jego intencyę!... Ah! jak ten nieznośny hrabia mnie lornetuje; nie wstydzi się, że to w kościele... Jednak wcale nie brzydki, młody, bez zarostu, a ja to właśnie lubię... Po co on tu przyszedł?... Może żeby mnie zobaczyć?... Ah! Boże! przebacz mi moje roztargnienie i nie karz mnie za moje błędy; umyślnie dziś włożyłam taki szkaradny kapelusz, aby nikogo nie wieść na pokuszenie.

PANI de CHAFROID. Jak ta margrabina jest roztargnioną a jak pozuje! Ależ to gorszące, to nieprzyzwoite. Biedny ten jej mąż, szczerze go żałuję!... A to długie nabożeństwo... przyjdę za późno do domu; ustawią mi akwarium i napuszczą rybek jakich nie lubię, byle nie białych, bo wyglądają jak ugotowane. Ja chcę mieć tylko złote lub czerwone i małe różowe muszelki. Nieboszczyk mój mąż lubił takie muszelki, jakto on je nazywał? a już wiem, ale o czemże ja myślę... Pamiętaj żeś prochem i w proch się obrócisz... Pamiętam, pamiętam o tem doskonale; ale dziś pragnęłabym jak najprędzej skończyć moje obowiązki religijne... Trzeba myśleć o postnych obiadach w tym tygodniu... co to za kłopot.

HRABIA. Jeżeli się nie mylę, margrabina spojrzała na mnie. Piękna margrabino twoje oczy rozniecają gwałtowną w mem sercu miłość. A to mi się udało ułożyć pospolity komplement. Co za szczególne spotkanie; wprawdzie mówiła mi, że tu będzie, ale tego schadzką nazwać nie można; wyrzekła tylko te słowa: w środę popielcową cały świat elegancki udaje się do kościoła św. Tomasza, naturalnie że i ja tam będę. Niby to powiedziane było od niechcenia, lecz ja korzystam z okazyi, a kto wie, może będę szczęśliwym wybranym.

MARGRABINA. Nic innego tylko hrabia przypatruje się tak mojemu kapeluszowi. Przez pokorę, w chęci przypodobania się Bogu włożyłam tego cudaka. No, ale nie myślmy o tem, trzeba się modlić. (Czyta z książki) W owym czasie mówił Jezus uczniom swoim: „gdy pościcie nie przybierajcie wyrazu twarzy smutnego i znękanego, jako ci faryzeusze, którzy chcą, aby wszyscy ludzie podziwiali ich umartwienie." Ah! mój Boże, więc ja powinna byłam wziąć kapelusz aksamitny lub pluszowy toczek. (Czyta dalej) „Przeciwnie, gdy pościcie umyjcie twarz waszą i namaśćcie ciało wasze wonnościami, aby nikt oprócz Ojca w niebiesiech nie wiedział o waszym czynie." Ah! mój Boże! jakżeż zawiniłam... nie zastosowałam się bynajmniej do przykazania Bozkiego... Nie zdążyłam się nawet uczesać!... A hrabia jest bardzo nabożny i zna pewnie te wszystkie przepisy. Dlatego tak mi się przypatruje... moja zbyt skromna i trochę zaniedbana tualeta, wydaje mu się obrazą świątyni.

HRABIA. Cóż to znaczy? pogrążona w modlitwie margrabina, uśmiecha się teraz z minką kokieteryjną i rzuca z pod długich rzęs spojrzenie w tę stronę gdzie ja stoję. Jej skrucha trwała bardzo krótko... dopiero co wydawała się zupełnie duchem oderwana od rzeczy ziemskich, aż naraz zmieniła się nagle w najpospolitszą salonową damę... Co spowodowało tę zmianę? czy mnie dostrzegła... a jaka ona czarująca.

PANI de CHAFROID. Dałabym chętnie luidora, żebym tylko się już znalazła w moim salonie!... Pan Labre czeka tam pewnie z rybkami, a Matylda jest tak ograniczona, że nie będzie umiała mu powtórzyć tego co jej powiedziałam. A przecież, nabożeństwo się kończy... bylem tylko dostała trochę popiołu, uciekam natychmiast.

MARGRABINA. Mój Boże przebacz pokornej swej słudze. Nie wiedziałam, że trzeba się właśnie stroić, aby się przypodobać Tobie. Nie dawniej jak wczoraj czytałam w dzienniku ogłoszenie jakiegoś magazynu w Tuileries, gdzie za bardzo nizką cenę można dostać ślicznych i odpowiednich na tę porę kapeluszy. Biegnę tam zaraz jak tylko wyjdę z kościoła. Piszą, że za pięćdziesiąt ośm franków, to prawie darmo, są kapelusze najświeższych fasonów przybrane prawdziwą koronką i różami, a także i odpowiednie suknie. Pojadę do tego magazynu natychmiast.

HRABIA. Zrobiłem na niej widoczne wrażenie; pójdę jej oczekiwać przy wyjściu z kościoła... Spojrzenie jej będzie stanowić o moim losie. (Wychodzi.)

PANI de CHAFROID. Oddycham! już koniec... czy tylko ten Labre nie odszedł.

MARGRABINA. Hrabia poszedł, to dobrze. Czy aby nie czeka na mnie przy kropielnicy... Jak to źle, że o nim myślę, jak nagannie post rozpoczęłam... o ja nieszczęśliwa... a do tego ten kapelusz, aby już co prędzej zdjąć go z głowy. (Margrabina wychodzi.)

Pytanie: po co ci ludzie przychodzą do kościoła, bo nie dla modlitwy zapewne, więc dla zwyczaju. Może się to niejednemu wydać przesadą a jest obrazkiem czysto z życia wziętym.

ROZMAITOŚCI.

Perfumy fałszowane.

W Cannes jeden z właścicieli fabryki perfum spotrzebowywa rocznie 70,000 kilogr. kwiatu pomarańczowego, tyleż liści różanych, 16,000 kwiatu jaśminowego, 20,000 fiołków i i 20 funtów innych kwiatów, oprócz mnóstwa kwiatów i liści pospolitych.

Cyfry poważne, ale można mieć dopiero wówczas wyobrażenie o ich kolosalności, jeżeli zwrócimy uwagę, że dla otrzymania jednego kilogr. liści różanych, trzeba oberwać 5,000 krzaków, że 30,000 krzaków jaśminowych daje tylko 1,000 kilogr.

kwiatu; że trzeba zasadzić 5,000 metrów ziemi fiołkami, aby ich uzbierać tylko na 1,000 kilogramów.

W żadnej też fabrykacyi nie dzieje się tyle nadużyć co w perfumeryi, bo materyał kosztowny i za fałszerstwo nie grozi żadna kara.

Fabrykant oszukuje tylko elegantki i zbytnice, a nad niemi nie czuwa kodeks handlowy.

W Nicei i Cannes zbierają rocznie 25,000 kil. fiołków, z czego otrzymują tylko 6,000 kilogr. perfumów rzetelnych, reszta zaś sprzedawana pod temi samemi etykietami, t. j. drugie 6,000 kilogr., to perfumy fałszowane.

To samo dzieje się z wodą pomarańczową: Cannes, Grasse i Nicea wyrabiają tej wody prawdziwej tylko 465,000 litrów, a wysyłają do stolic Europy, więc i do Warszawy, przeszło milion litrów. Niejedna elegantka nasza ani się domyśla, że myje swe lica wodą z marchwi lub szałwii a może jeszcze z czegoś gorszego.

W sprawie czystości naszej mowy,

PRZEZ

L. S. W.

Słuszną uczynił już ktoś w „Tygodniku Mód” uwagę, że wypadałoby mówić *parasolik* nie zaś *parasolka*, gdyż zdrobniałe powinny zachować rodzaj formy pierwotnej (parasol). Istotnie na Litwie, gdzie, mówiąc nawiasem, przechowało się wiele form i wyrażeń lepszych i poprawniejszych niż w Królestwie, używaną jest forma *parasolik*.

Wszelako za formą *parasolka* przemawia poniekąd zakorzeniony już *zwyczaj* (który przysłowie mianuje *tyranem*), a podobnież i w kilku innych wyrazach, równie cudzoziemskich i rzecz dziwna, zarówno oznaczających części ubioru panuje ta sama nieprawidłowość: tak od *krawat* i *żakiet* formujemy zdrobniałe *krawatka* i *żakietka* (zresztą mówi się też i *żakiecik*, ale już chyba nigdy *krawacik*).

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki, wyszły następujące dzieła:

Stanowisko Waleryana Kalinki w historyografii polskiej. Studyum Władysława Smoleńskiego. Cena 40 kop.

Prometeusz Rozpętany, dramat liryczny w 4 ch aktach, przełożył z angielskiego Feliks Jezierski. Cena 50 kop.

Jak sen, powieść, przełożyła z oryginału włoskiego Emilia K. Cena 50 kop.

Zemsta Kasztelanowej, dramat w 4-ch aktach, napisany wierszem przez Michała Jezierskiego.

Faust, tragedya Goethego, przełożył Ludwik Jenike. Odbitka z Ateneum.

Żydzi polscy w świetle prawdy. Studyum współczesne, napisane i wydane przez Konstantego Wzdulskiego.

Miesięcznika geograficzno-etnograficznego **Wisła** wyszedł zeszyt 3 tomu I, nakładem księgarni M. Arcta i zawiera następujące artykuły: O sposobie gromadzenia materyałów etnograficznych, napisane przez Zawilińskiego. — Etnograficzno-statystyczny zarys o liczebności i rozsiedleniu ludności polskiej, opracował Edward Czyński. — Czary i czarownice w Polsce, przez I. Karłowicza. — Wśród ludu krakowskiego, Stefanii Ulanowskiej. — Z puszczy Zielonej, materyały do etnografii polskiej, zebrał Adam Zakrzewski. — Próbki piosenek litewskich. — Słownik kaszubski z dodatkiem idyotyzmów chełmińskich i kociewskich, ułożył X. G. Pobłocki. — Poszukiwania Karłowicza.

Nakładem Redakcyi „Przeglądu Tygodniowego” wyszedł ogólnego zbioru zeszyt trzeci **Encyklopedyi Technicznej**, czyli Podręcznika praktycznego Technologii Chemicznej, w zastosowaniu do przemysłu, rękodzieł, rzemiosł, sztuk, rolnictwa i gospodarstwa domowego, opracowany podług najnowszych źródeł, pod redakcyą D-ra Aleksandra M. Weinberga. Mieści się w nim 200 drzeworytów w tekście i wiele tablic obejmujących próbki przedmiotów w naturze.

Zasłużona dziatwie naszej i wychowawcom firma p. Mülera, puszcza corocznie w obieg zapas gier i książeczek, które mając na celu rozrywkę młodzieży, dostarczają jej równocześnie zdrowej strawy umysłowej i rozwijają pod pozorem zabawy inteligencyę przyszłych obywateli. Leży w tej chwili przed nami, nowy dowód pożytecznej działalności tej firmy. Jest-to maleńka książeczka, której tytuł **Model Michasia**, nie zdradza bynajmniej iż ów Michaś, znajdzie tu obok ładnej zabawki rysowania i sklejania zmniejszonego modelu kościoła Ewangelickiego, wyłożenie w formie przystępnej podstawowych zasad geometryi. Myśl bardzo pożyteczna, chłopiec bowiem mało rozwinięty, z trudnością zazwyczaj daje sobie radę, z początkami zawiłej matematyki, w obcym wykładanej mu języku.

OD REDAKCYI.

☞ **Tom ósmy seryi drugiej pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł z druku i obejmuje:**

GALERYA DYLETANTÓW:

Wspólnicy. — Pierwszy zawód. — Literacka sofa.

Wydawnictwo to redakcya przeznaczyła na premium nadzwyczajne dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów Tygodnika Mód i Powieści“ *w Warszawie:*

za tom kop. 60; za tomów 12 rs. 7 k. 20

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom kop. 70; za tomów 12 rs. 8 k. 40

Dla nieprenumerujących Tygodnika Mód i Powieści“ *w Warszawie:*

za tom rs. 1 k. 20; za tomów 12 rs. 14 k. 40

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom rs. 1 k. 30; za tomów 12 rs. 15 k. 60

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Chmielna Nr 26 nowy.

ZAWIADOMIENIA.

PRZYJACIEL DZIECI

numer 33 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z Nauczycielem. — Oryanda (drzew.) Bez gniazda (wiersz). — Chłopczyna z Wadowic. Na oceanie Lodowatym walka marynarzy z niedźwiedziami białemi (drzew.) — Skały bazaltowe (z drzew.) — Czybyła dobrą. — Rozmaitości. Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Opowiadanie o kogucie Szałapucie. — Orzeszki (wiersz). — Barwena (z drzew.) — Za lekarstwo (wiersz). — Wykład nauki poglądowej. — Zadania i łamigłówki.

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Іюля 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.

Opis do N-ru 32.

(*Dokończenie*).

N. 28. Sukienka z karczkiem dla panienki lat 11-13. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 58—63.

Odrobiona z kretonu w kratkę niebieską z białym ma karczek i pliski z gładkiego niebieskiego materyału. Podług fig. 58 i 60 kraje się podszewkę pod stanik w całej długości; linia cienka oznacza lewą połowę przodu zachodzącą pod spód. Materyał zwierzchni na prawej połowie przodu układa się w trzy kontrafałdy, na każdej połowie pleców w dwie po 4 cent. szerokie. Karczek przystębnowany z wierzchu oznaczony jest również na fig. 58 i 60; kołnierzyk stojący 5 cent. wysoki. Rękawy opuszczają się na mankiet uszyty na podszewce. Spódniczka 140 cent. szeroka, przykryta trzema falbanami po 17 cent. szerokiemi, 200 długiemi, przyszywa się do brzegu stanika, na szwie dany pasek (fig. 63) objęty pliską.

N. 29. Serwetka w pasy. Patrz ryc. 15 w N-rze 81 i fig. 83.

Ciemno brązowe 6 cent. szerokie aksamitne pasy przedzielane wszywką 7 cent. szeroką, odrobioną podług ryc. 15 w N-rze 31 z jedwabnej piaskowej plecionki $\frac{1}{2}$ cent. szerokiej i tegoż koloru filozeli, dalszy ciąg deseniu daje fig. 83. Zaczynając wszywkę robi się najpierw dwa łańcuszki i takowe w odpowiedniej odległości przyczepia na ceracie lub papierze, z narysowanym deseniem; następnie przyfastrygowywa plecionkę podług deseniu poczem dodaje nitki zasnuwające tło. Każda nitka przy brzegu plecionki zawiązana jest w węzełek.

zdobi w niezwykły sposób upięta wstążka atłasowa 4 c. szeroka, którą wszywa się pomiędzy szwy na ramionach, w odstępie 28 cent. od góry łączy się węzłem lub klamrą na środku pleców, a dalej spuszcza w długie pukle i końce.

N. 5. Gałązka kwiatu. Haft płaski.

Gałązkę służyć mogącą do przyozdobienia poduszeczki do szpilek, serwetek do mebli lub t. p. przedmiotów, haftuje się jedwabiem kordonkowym pąsowym i wyszywa sznurczkiem złotym, na tle z cienkiego płótna lub z atłasu albo sukna.

N. 9. Ubranie ranne z kaftanikiem luźno wciętym do figury.

Piękne ranne ubranie odrobione było z jedwabnego bastu, z ciemno pąsowego fularu, i z koronek kremowych. Pod luźne przody kaftanika złożone z brzegów w dwie głębokie fałdy, dodana jest plisowana kamizelka zapięta niewidocznie na guziczki, odrobiona z ciemno pąsowego fularu. Takaż część plisowana wstawiona jest z przodu w szeroką, trochę z tyłu podpiętą spódnicę. Naszycie koronek wskazane jest na ryc. 9. Kołnierz wykładany i mankiety podszyte fularem. Pasek z boków przyszyty i kokardy ze wstążki.

N. 10. Ubranie negliżowe z vêtement.

Z pod vêtement szeroko otwartego z przodu, z boków przeciętego do połowy długości; widać białą muślinową spódniczkę, zagarnirowaną wązkiemi plisowanemi falbankami, zachodzącemi jedne na drugie. Pod stanik vêtement daje się gładką, za wcięcie w pasie dochodzącą podszewkę z szyrtyngu, z małemi zaszewkami w przodach, na których zwierzchni materyał jest trochę przymarszczo-

N. 18—19 i ryc. 4. Torebka na bieliznę nocną. Haft płaski i kratki.

Na torebkę potrzeba 78 cent. długiego a 50 szerokiego kawałka, kanwowego płótna, z którego odchodzi po 1 cent. z brzegów na szwy. Środek torebki zdobi szlak 26 cent. szeroki haftowany podług deseniu ryc. 19, filozelą dwunitkową. Kwadraciki z pojedyńczych ściegów odgradzające małe i większe kwadraty robione są filozelą jasno oliwkową. Haft płaski przedzielany jedną nitką a obejmujący 2, 4, 8, 12, i 16 nitek, w czterech figurach środkowych dużego kwadratu robiony jest kolorem łososiowym, przecięcia obrobione kolorem niebieskawo zielonym, a skośne pasy kwadratów płowo czerwonym. Szlaczek podany na ryc. 4, dany z obydwóch stron przy kratce ażurowej 6 cent. szerokiej, haftować kolorem ciemno oliwkowym i płowo czerwonym; za wzór do kratki służyć może ryc. 8. Haft podszyć materyą kolorową, zeszyć boki na torebkę 29 cent. głęboką, którą następnie zarówno jak i klapę oszyć mocną, wązką koronką nicianą. Kokardy z płowo czerwonej wstążki z pikotami.

N. 20—21. Czepeczek ranny z jedwabnego tiulu.

Brzegi czółka obejmującego głowę, oszyte są drucikiem i objęte wstążeczką, a środek zapełnia denko z jedwabnego tiulu, na którem ułożona jest bufa 6 cent. wysoka. Zewnętrzny brzeg czółka oszyty puklami ze wstążki z pikotami 2 cent. szerokiej, z tyłu 6 z przodu 5 c. długiemi; na pukle spada plisowanie z podwójnie złożonego tiulu, z przodu 2; z tyłu 5 cent. szerokie. Z tyłu na czółku naszyte 3 płaskie bufki podwleczone wstążką; jedna suta kokarda przypięta nad czołem, a dwie z boków w miejscach wskazanych na ryc. 20 i 21.

N. 22. Sukienka z fałdowaną spódniczką dla małej dziewczynki.

Sukienka odrobiona z materyału wełnianego, szafirowego w białe kropki, miała stanik jednakowo ubrany z tyłu i z przodu. Zwierzchni materyał przodów i pleców z brzegów w równe fałdki ułożony i szeroko otwarty na środku, pozostawia w gładkiej podszewce miejsce na plastron, którego część górną stanowi marszczona szmizetka z czerwonego atłasu, 13 c. długa, wszyta w pasek kołnierzowy 2 cent. szeroki, wyszyty ściegiem cierniowym, jedwabiem szafirowym. Szmizetkę dopełnia plastron gładki, z tego co suknia materyału 16 cent. długi, w górze w ząb zakończony i wyszyty jedwabiem czerwonym. Szerokie bluzkowe rękawy wszyte w pasek atłasowy, 3 cent. szeroki. Przyszycie spódniczki 20 cent. długie, pokrywa wstążka z pikotami 3 cent. szeroka, z której upięte z tyłu długie pukle i końce.

N. 23 i 11—13. Sukienka robiona szydełkiem, dla dziecka 1—3 lat.

Model kroju i miara sukienki na ryc. 32. Skrócenia: o. zamiast oczko, o. śc. zamiast oczko ściśle, o. pow. zamiast oczko powietrzne, sł. słupek, o. śc. łańc. oczko ściśle łańcuszkowe. Materyał: włóczka biała angielska, i różowa filozela.

Długi stanik któren dopełnia krótka spódniczka z falbankami, robić trzeba bez gubienia lub przybierania, podług miar podanych na ryc. 80, ściegiem tunetańskim w pasy, którego próbka na ryc. 13. Pasując podług formy, nie trzeba w żadną stronę wyciągać dość luźnej roboty. Plecy w środku na guziczki zapinane, robić według, zacząwszy łańcuszkiem z o. 60, obrobionym dwoma rzędami tunetańskiego ściegu, po których następuje rząd deseniowy, wyraźnie wskazany na próbce 13. Zacząć * 2 o. pow. wziąć 4 pentelki na szydełko z których 1 w zwierzchnią, 2-gą w spodnią nitkę poprzedzającego o. 3 i 4 w o. poprzedzającego rzędu; wszystkie pięć pentelek przerobić razem, jak to wskazuje strzałka na r. 13. Powtarzać od gwiazdki. W rzędzie tym trzeba bardzo uważać żeby żadnego o. poprzedzającego tunetańskiego

Opis do N-ru 33.

N. 1, 33 i ryc. 42 w N-rze 34. Suknia z krótką draperyą.

Model do ryc. 1 i 42 odrobiony był z satynki w pasy ciemne i jasne. Na spódnicy fałdowanej krótka draperya ułożona była z bryta 425 cent. długiego, upiętego podług znaków danych na ryc. 33. Cienka, przerywana linijka na brycie *b*, oznacza środek przodu draperyi, podpiętej z boków w jednakowe fałdy na krótki fartuszek. Obadwa końce bryta przefałdować trzeba podług krzyżyków i punktów, upiąć na draperyę tylną, sposobem wskazanym na ryc. 42 w N-rze 34 i przypiąć na haftki pod kokardą, na baskinie pleców stanika z podwójnemi przodami, z których pierwsze mające długość zwyczajną, pokrywa żabot fałdowany z dwóch prostych kawałków koronki walencien; drugie zwierzchnie, luźno puszczone, są krótkie, kaftaniczkowe. Przody i boczki stanika dopełniają gładkie części oddzielnie przykrojone podług ryc. 33. Rękawy zdobią bufy z materyału koronkowego. Kołnierz i kokardy są z 7 cent. szerokiej aksamitnej wstążki.

N. 2, 16 i 29. Suknia ozdobiona kokardami.

Piękną letnią suknię odrobioną z kremowego kongresowego płótna, gładkiego i przerabianego w pasy ażurowe, bogato zdobi rzucik i szlaki zakończone dzierganemi ząbkami, haftowane kolorowym jedwabiem, oraz sute kokardy ze wstążki. Na spódnicy ułożonej w plisowane fałdy, dana draperya składająca się z trzech części, do których model kroju i miary dajemy na ryc. 29; *a* przedstawia długą draperyę fartuszkową, sfałdowaną tylko w górze i w zaokrąglonym bocznym brzegu, gdy brzeg boczny gładko spuszczony podchodzi pod także nie podpięty, długi brzeg części *b*, która sfałdowana w górze z drugiej strony układa się w fałdy wachlarzowe. Tylny bryt c przyfałdować i podpiąć podług znaków. Stanik z baskiną z materyału haftowanego i w pasy ażurowe,



N. 1. Suknia z krótką draperyą. Zobaczyć plecy na ryc. 42 w N-rze 34, model kroju draperyi na r. 33.

N. 2. Suknia ozdobiona kokardami. Przód na r. 16, model kroju draperyi na ryc. 29.

ny. Zapięcie stanika dane jest z boku, przy plastronie naszytym plisowanemi falbankami, któremi oszyte są także brzegi vêtement, kołnierz i rękawy. Na modelu vêtement odrobione było z białego batystu w niebieskie kropki; pasek z boków przyszyty i kokardy z niebieskich wstążek.

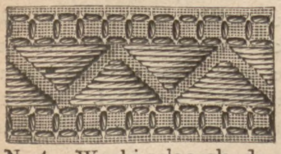
rzędu nie opuścić, bo cała robota skrzywiłaby się. Po skończeniu deseniowego rzędu trzeba nitkę uciąć, a zaczynając rząd tunetański, przywiązać ją do o. narożnego; dalej w każdą figurę deseniu brać pentelki tylko w dwa o. krzyżykiem i punktem oznaczone, a oczko w górę wystające opuszczać. W każdej połowie pleców jest 7 rzędów deseniowych, przedzielanych dwoma rzędami tunetańskiemi. Przy końcu 7 go deseniu trzeba zrobić 20 o. łańcuszka na ramiączko mające jeden rząd deseniowy i 2 gładkie rzędy szerokości. Teraz na podkrój pod parhą trzeba trzy po-



N. 3. Widok upięcia bocznego do ryciny 4 w N-rze 34.

trójne rzędy powtórzyć lecz tylko na długość o. 54, przy końcu trzeciego dodać znów 16 o. na ramiączko, równo szerokie jak przy pleckach. Dziesięć pasów deseniu robionych na długość 58 oczek, potrzeba na całą szerokość przodu. W dalszym ciągu robi się drugą połowę pleców wraz z połową ramiączka. Zanim spoi się ramiączka z lewej strony, przyczem pasy deseniowe schodzą się z gładkiemi, trzeba wpierw brzeg zewnętrzny obrobić raz ściegiem tunetańskim drugi raz ząbkami ze słupków, na które robić jedno o. śc. * jedno minąć, w następne o. zrobić 5 słupków, znów jedno minąć 1 o. zrobić ściśle, powtarzać od * górny łańcuszek zębów obrobić filozelą różową o. śc. łańcuszkowemi, danemi na wierzchu. Wykrój pod szyją obrobić jednym rzędem tunetańskim, a następnie szlaczkiem podanym w naturalnej wielkości na ryc. 12. Brzeg ząbków wyszyć o. śc. łańc. filozelą różową, i nawlec wstążeczkę do przyciągania.

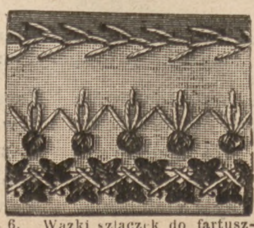
Brzeg dolny stanika obrobić ząbkami ze słupków jak ramiączka, a plecy przez całą długość zapinać na guziczki. Spódniczka przyrobiona od spodu do staniczka składa się z 7 rzędów słupków przedzielanych o. pow. w pierwszym daje się o. 72, w następnych przybierać w równych odstępach 3 o. w tylnej połowie spódniczki, tym sposobem rząd 7 liczy o. 90; słupki mijające się ze sobą, zajmać zawsze za o. pow. Spódniczkę pokrywają 3 falbanki, robione podług próbki ryc. 11, ozdobione wyszyciem łańcuszkowem filozelą, przyszywa się szwem obrąbkowym na



N. 4. Wązki szlaczek do ryc. 19. Haft płaski.



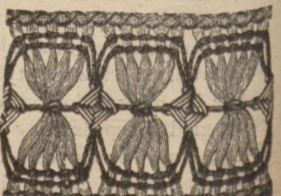
N. 5. Gałązka kwiatu. Haft płaski.



N. 6. Wązki szlaczek do fartuszka bluzkowego, ryc. 43 w N-rze 34. Haft pospieszny.



N. 7. Lambrekina do ozdobienia poręczy sofy, ryc. 37 w N. 34. Haft i aplikacya.



N. 8. Kratka ażurowa do serwety na stół, ryc. 28 w N-rze 34.



N. 9. Ubranie ranne z kaftanikiem luźno wcinanym.

N. 10. Ubranie negliżowe z vëtement.

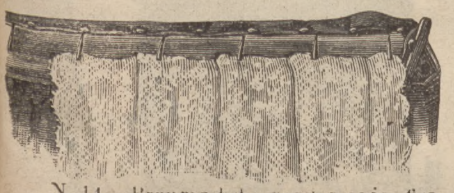
spódniczce. Górną falbankę liczącą ząbków 45, przyszywa się do brzegu stanika, środkowa ma ząbków 60, a dolna przyszyta do przedostatniego rzędu słupków, zębów 70. Kokardy na ramionach i przewleczenie w górze ze wstążeczki różowej atłasowej 3 cent. szerokiej.

N. 24—25. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki.

Sukienkę z żółtawego batystowego płótna, zdobiły szlaczki haftowane 4 cent. szerokie i kokardy z blado niebieskiej atłasowej wstążki. Przody i plecy długiego stanika na 12 cent. szerokości zaszyte są w wązkie zakładki, które w górze i z boków zakończone są szlaczkami haftowanemi. Przyszycie spódniczki 16 cent. długiej, przykrywa luźno opasana wstążka; garnirunek dolny zdobią cztery, 2 c. szerokie zakładki i szlaczek haftowany.

N. 26—27. Bluzka wycięta dla małej dziewczynki.

Rycina 27 daje model formy i miary karczka do bluzki, pod któren daje się płócienną podszewkę; do dolnego wypustką ze sznureczkiem oszytego brzegu, przyszywa się zmarszczony bluzkowy stanik, zrobiony z prostego 100 cent. szerokiego kawałka z przodu 18, z tyłu 20 cent. długiego, podciętego na otwory pachy. Pasek 3 cent. szeroki łączy ze stanikiem spódniczkę mającą 130 cent. obwodu, a 36 cent. długości, łącznie z zaszytemi u dołu zakładkami. Wykrój pod szyją i wykrój pachy oszyć szlaczkiem haftowanym lub koronką szydełkową. Pasek 5 c. szeroki zapina się z tyłu pod kokardą z tego co sukienka materyału.



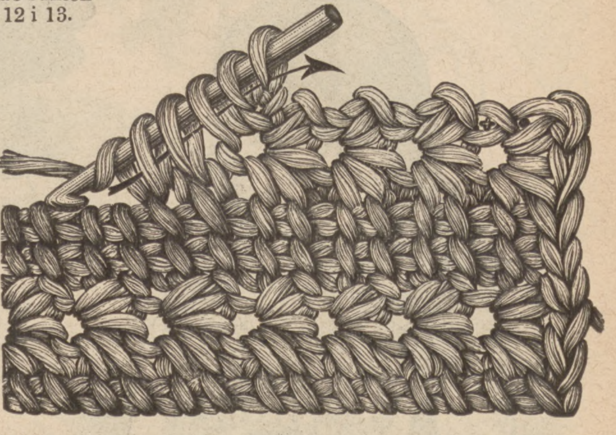
N. 14. Przyrząd do zawieszania firanek. Zobaczyć rycinę 15 i rycinę 19 w N-rze 34.



N. 11. Koronka szydełkowa do sukienki ryc. 23. Zobaczyć ryc. 12 i 13.



N. 12. Koronka z przewleczoną wstążką, do sukienki szydełkowej ryc. 23.



N. 13. Próbka ściegu szydełkowego w pasy do sukienki ryc. 23.

Opis do N-ru 34.

N. 1 i 10. Kapelusz okrągły z piórami.

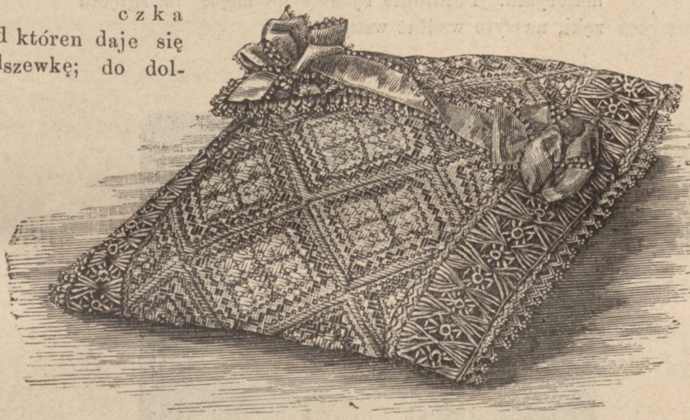
12 cent. szerokie rondo fantazyjnego fasonu podszyte jest aksamitem z jednego boku wywinięte podług r. 1, kokarda i opasanie z wstążki z pikotami 9 c. szerokiej i upięcie z piór strusich zdobi główkę 14 cent. wysoką.

N. 4. Suknia z fartuszkową tuniką. Patrz ryc. 3 w N-rze 33.

Szlaki 9 cent. szerokie haftowane białą bawełną zdobią suknię z piaskowego batystu, przody stanika zszyte z takich pasów haftowanych i przybrane kolorową wstążką z pikotami 2 cent. szeroką, odznaczającą z jednego boku ranwers; rękawy fałdowane wszyte w gładkie mankiety. Fałdowana spódnica zaszyta u dołu w kilka zakładek; przedni fartuszkowy bryt tuniki liczy 105 c. długości a 200 szerokości, z jednego boku spada gładko, w górze suto nafałdowany wszywa się w pasek, a z drugiego boku upina á panier, podług r. 3 w N. 33. Tylne upięcie dane z brytów prostych.

N. 5. Suknia z vëtement.

Odrobiona z materyi faille i pluszu koloru heliotropu ma vëtement przybrane bogatą pasmanteryą z jedwabnego sznureczka i perełek stalowych. Zwracamy uwagę na odszycie vëtement którego rękawy i lewa połowa przodu idąca pod spód jest



N. 18 Torebka na bieliznę nocną. Haft płaski i kratka ażurowa, deseń na ryc. 19, wązki szlaczek na ryc 4.



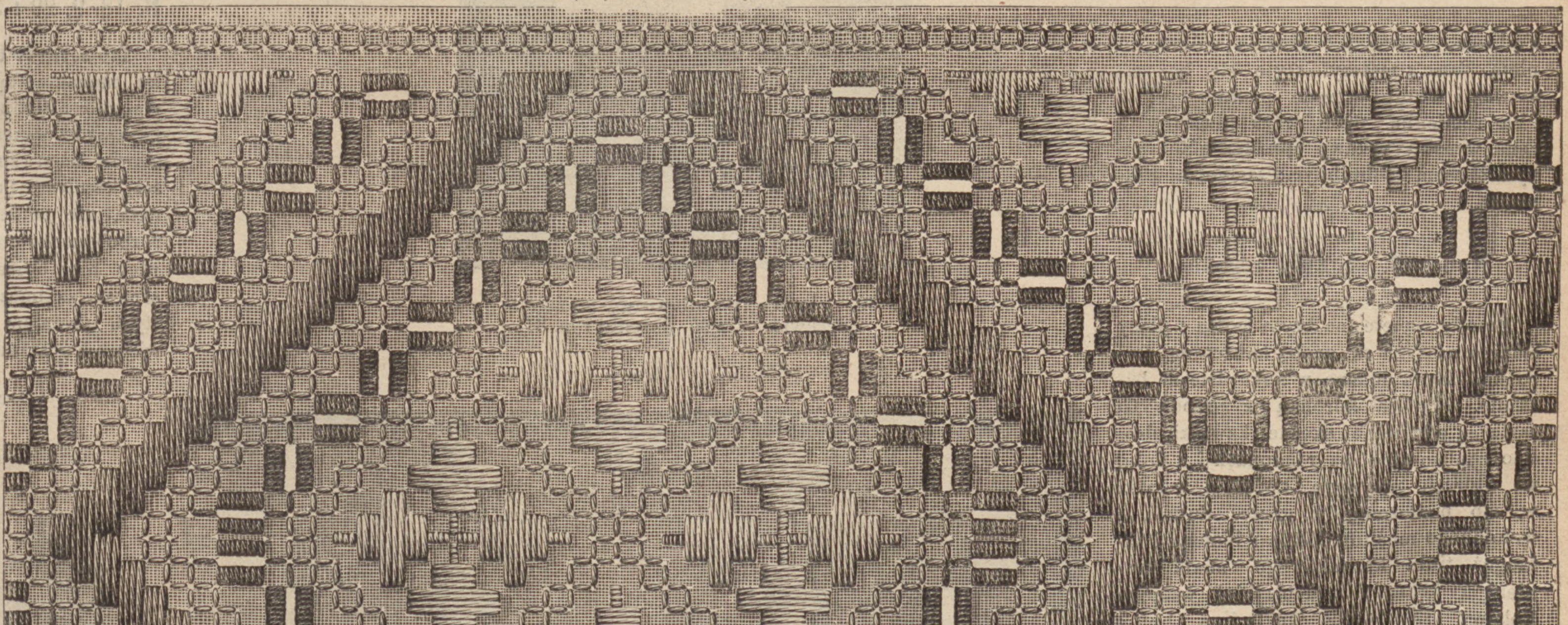
N. 15. Część przyrządu do zawieszania firanek, r. 19 w N-rze 34.



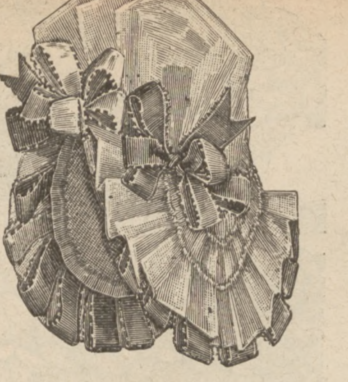
N. 16. Przód do sukni ryc. 2.



N. 17. Rękaw do ryc. 44 w N-rze 34.



N. 19. Deseń do haftu płaskiego do ryc. 18.



N. 20. Czepeczek negliżowy z jedwabnego tiulu. Zobaczyć tył czepeczka na ryc. 21.



N. 22. Sukienka z fałdowaną spódniczką dla małej dziewczynki.

N. 23. Sukienka robotą szydełkową dla dzieci, 1—3 lat. Próbki roboty na ryc. 11—13 model kroju na ryc. 27.



N. 21. Czepeczek negliżowy z jedwabneg tiulu, przód na ryc. 20.





N. 24. Wycięta sukienka dla małej dziewczynki. Widok pleców na r. 25.

N. 25. Plecy do sukienki ryc. 24.

N. 16. Stanik przybrany wstążką.

Suknia z żółtawego satin merveilleux ma stanik oryginalnie przybrany wstążką blado niebieską, ułożoną podług ryc. 16 w długie pukle i w maleńkie kokardki. Wzdłuż przodów od ramion do wcięcia stanu dane fałdowanie ze skośnego kawałka materyału. Półdługie rękawy podcięte na zgięciu ręki, naszyte wzdłuż wstążką.

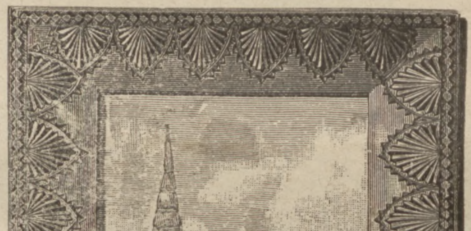


N. 26. Bluzka wycięta dla małej dziewczynki. Mode kroju na ryc. 27.

z pluszu, prawa zaś skośnie na bok zapięta dana z materyi szyje się bez zaszewek i fałduje w pasie podług ryc. 5 i na ramieniu. Kołnierzyk pluszowy 5 cent. wysoki; rękawy opasane sfałdowanym skosem jedwabnym; spódnica pluszowa.

N. 6 i 17. Stanik z baskiną.

Przody zapięte na kryte haftki i plecy stanika naszyte są grubą haftowaną koronką, która dodana w kokardzie na baskinie. Po za koronką z przodu naszyte są oddzielne skośne kawałki, drobno zaplisowane na ramionach i u dołu, na których przyszyte końce z wstążki w ząb podłożonej w górze. Suknia z wełnianego muślinu żółtawo białego i takiegoż tiulu koronkowego miała kołnierz i kokardy z niebieskiej wstążki. Rękawy zakończone podwójną bufką tiulową podwleczoną wstążką.



N. 30. Ramy do obrazów, rzeźbione na drzewie. Część deseniu ryc. 31.

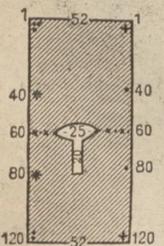
N. 18, 9, 29 i 39. Serweta z wyszyciem

Tło serwety tkane na ręcznym warsztacku można zastąpić płótnem kanwowem; wyciąganie nitek między kwadratami i wyszyci pajączków wskazuje ryc. 18; ryc. 39 przedstawia deseń (zmniejszony do czwartej części) kwadratu tkanego na warsztaciku ręcznym, ale ponieważ ta robota mało u nas rozpowszechniona dla braku warsztacików więc nie opisujemy szczegółowo. Brzegi serwety zakończa frendzla pleciona z prostych promieni podług ryc. 9 i na końcach wiązana w kwaściki.

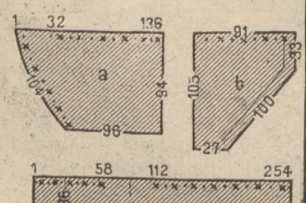
(Dokończenie nastąpi).



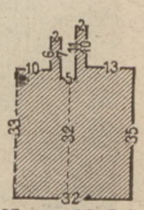
N. 31. Deseń do roboty snycerskiej, do ram ryc. 30.



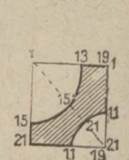
N. 28. Model kroju do fartuszka bluzkowego, ryc. 43 w N. 34.



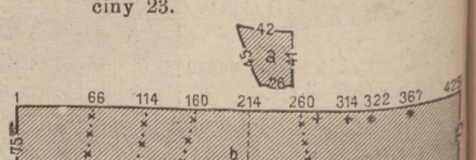
N. 29. Model kroju i miary draperyi do ryc. 2 i 16.



N. 32. Model kroju do ryciny 23.



N. 27. Model kroju i miary karczka do ryc. 26.



N. 33. Model kroju do ryc. 1 i do ryc. w N-rze 34.